



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEŃ.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

Jak mi tegoroczna zima przypomina nas samych, naszą energią i wytrwałość!... zupełnie, jak ona, przerzucamy się z krańca w kraniec, zmieniamy usposobienie, przybieramy pozory krzepkości, siły, teźżyny, a potem nagle ni ztąd ni zowąd tonieje, zmieniamy barwę, temperaturę, nasze zamki z lodu rozplývają się w wodę, nasza energia taje, jak śnieg i najniespodzianie przechodzimy z pod zera ponad zero i odwrotnie.

Ale to zero pośrodku jest jakby symbolem dla skutku owych wahań i zmian, którym tak łatwo podlegamy; na tem zerze, niestety, tak często ograniczają się wyniki naszych porywów, usposobień i dążeń.

Jeżeli klimat wpływa na ludzi, to może ta zmienność, nierówność, nieprawidłowość naszej aury kapryśnej i niestałej jest przyczyną pewnych ujemnych stron naszego charakteru i naszej natury.

Dobrze to mieć jakiegokolwiek kozła ofiarnego; wygodniej można złożyć na niego część własnych win.

Niechże dla nas tym kozłem będzie klimat; tak, to z jego przyczyny nie możemy zachować równowagi, przez niego wpadamy w ostateczność, zmieniamy gorącą naturę na chłodną i z chłodnej przechodzimy w gorącą; to klimat wyrabia w nas tę niestałość, tę nierównomierność, z którą się nigdy dokładnie obliczyć nie można.

Tak, to tylko klimat, nie innego.

Kilkanaście lat temu zaczęły się, o ile pamiętam, owe grymasy i kaprysy naszych czterech pór roku i zaraz oddziały na nasze usposobienie. Wtedy właśnie zajmowaliśmy się bardzo gorąco kwestyą nieszczęśliwych „pracownic igły.”

Boże, jak nam oprócz szwaczek nie innego nie leżało na sercu!... jakeśmy szyli i pruli, niby pracowita Penelope, rozmaite projekta, ustawy, wnioski, referaty, memoriały!... jakeśmy się obmotywali różnokolorowemi niemi, niby jedwabniki, i z tych nitki kręcili powróż, na którym zawisnąć miała przyszłość wyzyskiwanych, przepracowanych, marnowanych dziewcząt po magazynach!...

Ale cóż z tego, wszystkie te śliczne rzeczy zaczęły się w lecie, które było pogodne, słoneczne i usposabiało szczególnie do optymizmu; licho przyniosło jesień, wreszcie mrozy, zdaje mi się, że i śniegi spadły przed terminem, no, i ochłodliśmy dla szwaczek, jak żelazko do prasowania wystawione za okno w zimie.

Tak było do przyszłej wiosny, do czasu, gdy zaczęły kwitnąć fiołki, wschodzić zasiewy, rodzić się młode kurczęta a wśród nich odrodził się i fenix, zwany sprawą pracownic igły; że zaś lato następne było kapryśne, a jesień mazgajowata, pod ich wpływem zapalaliśmy się kolejno i ostygali znowu do tej kwestyi, skutkiem czego do dzisiejszego dnia szwaczki siedzą na tychsamych miejscach i szyją za to samo wynagrodzenie o suchej bułce i szklance herbaty po całych Bożych dniach.

Ba, żeby nie ten zmienny klimat!... bylibyśmy rozwiąziali nie tylko sprawę szwaczek, ale i sprawę nauczycielek, bon i guwernantek, do której w jakiś pogodny dzień jesienny nader życzliwie usposobiło nas słońce i jeden z Kuryerów bardzo gorąco napisanym artykułem.

O, nauczycielkami bodaj zajmowaliśmy się jeszcze gorącej, niż pracownicami igły, i całkiem słusznie, przecież to chodzi o przedstawicielki inteligencji, o te moralne szwaczki przyszłego pokolenia, które przykrawają umysły, pojęcia, wiedzę naszych dzieci i jeśli nie zszycują na całe życie, to przynajmniej fastrygują to wszystko, w co się młode głowy ozdabiają wewnątrz.

Należały się im przeto szczególniejsze względy, większa uwaga, jakaś wyraźniejsza, faktami stwier-

dzona wdzięczność z naszej strony. No, i powstało przecież 'Schronienie' nauczycielek, które przez pewien czas gościło w obrębie miasta, ale od pewnego czasu wyniosło się za rogatki i przykućnęło cichutko w Królikarni, nie śmiać się nawet przypominać swym dawnym protektorom i protektorkom.

Zresztą, samo Schronienie nie rozwiązywało jeszcze kwestyi zabezpieczenia bytu spracowanym nauczycielkom, nie mogło dawać im doraźnej pomocy, nie miało fundusów na pożyczki i zapomogi, żyło dotąd i żyje jakaś szczególniejsza łaska Bożą i zabiegliwością tych kilku osób, które się niem z prawdziwym poświęceniem zajmują.

Od kwestyi nauczycielek wiatr nas porwał w inną stronę i rozmiłowaliśmy się nagle w dzieteczkach, w tych najmniejszych i najbiedniejszych, podrzucanych przez wyrodne matki, pozostawianych „na garnuszku,” wychowywanych u Dzieciątka Jezus, zaś z chwilą pożaru przy ulicy Siennej i wykrycia fabryki aniołków pod firmą niezapomnianej Skublińskiej, osmoliliśmy sobie formalnie całą wyobraźnię, głowę i serce przy tych płomieniach i już o niczem innym myśleć, mówić, pisać nie mogliśmy, tylko o losie niewińatek.

Kółko, garnuszek, niemowlęta, dom podrzutków, ochronki dla dzieci, ptzytułki dla matek—stanowiły przez bardzo długi czas jedyne tematy, które nas zajmowały!

Boże jedyny, czegośmy nie wymyślali, czego się nam nie zachciewało, aby położyć tamę zbrodniom, gangrenie społecznej, nieludzkiemu wyzyskowi etc. etc!...

Powstał z tych czasów stos makulatury zadrukowanej setkami artykułów, rozpraw, odezów, projektów, a na wierzchu kolorowany egzemplarz jednodniówki wydanej przez „Kolce” p. t. „Na garnuszek.”

Nawet zbieraliśmy składki, które miały bardzo filantropijne przeznaczenie.

Ach, gdyby nie ten zmienny klimat!... bylibyśmy może wytrwali dłużej w takim korzystnym naprężeniu nerwów i ostatecznie zrobili coś więcej dla niemowląt, zamiast bębnić w ów pusty „garnuszek,” z takim hałasem.

Przyszły deszcze, ulewy, szarugi i zamoczyły wszystko, rozstroiły nas i wprawiły w stan zakatarzanej apatii, z której kilka następnych edycyi Skublińskich na prowincyi nie mogły nas już wyrwać.

Bo i gdzież tu w takim klimacie można zachować równowagę, zajmować się dłużej i wytrwale jakąś żywotną sprawą, kiedy człowiekiem rządzą nerwy, a nerwami pogoda, a pogodą Bóg wie kto taki!

Nie chcę dalej rozwijać mojego założenia i przytaczać więcej przykładów w powyższym rodzaju, bo wolę zamiast pogawędki napisać o tem całą książkę, którą wydam raz własnym nakładem, jak pani Ówierczakiewiczowa, aby nie wzbogacać ciągle swoich nakładców.

We wstępie do tego dzieła o stosunku klimatologii do psychologii, socjologii, frazeologii i t. d. pozwolę sobie obszerniej opracować mój pogląd, zbyt może śmiały, na powstawanie tak zwanych u nas „kwesty” bieżących na porządku dziennym i może uda mi się przekonać czytelników, że większość ich rodzi się sztucznie, nie naturalnym zbiegiem okoliczności, że ojcem ich bywa Przypadek, matką Prassa, a mamką Sensacyjność.

Muszę się z tego wytłomaczyć; otóż przypatrując się oddawna pochodzeniu, żywotom i zagadkowym zgonom tych umiłowanych córeczek chwili bieżącej i dziennikarstwa naszego, przyszedłem do przekonania, iż tylko te „kwesty” odznaczają się pewną siłą żywotną, które przychodzą na świat jako istotny wynik pewnych dojrzałych wniosków i czynników w organizmie społecznym, pewnych idei, które ten organizm zdołały na wskrós przesiąknąć i z jego sokami w nim krażać.

Wszystkie inne sztuczne zaszczepiania, nie przyjmują się, nie rozwijają i nie wrastają w niego.

U nas „kwesty” robi się z dnia na dzień, bez przygotowania, bez zbadania gruntu, materiału i środków do ich rozwinięcia i podtrzymania; wybiera je najczęściej przypadek, a wyrzuca, jak piłkę, wysoko w górę jakiś dziennik, który chce w danej chwili zwrócić na nią i na siebie uwagę.

Czytający ogół, publiczność, kupi się około tego widowiska, podnosi głowy, przypatruje się, dziwuje, klaszcze, krzyczy, zapala się i podbija wraz z danym organem opinii tę piłeczkę coraz wyżej, ale nagle jakiś inny dziennik, zniercierpliwiony tem, że jego współzawodnik zbyt długo odciąga uwagę publiczną, chwytą piłkę innego koloru i innego kształtu, ciska ją ponad głowy tłumu i ten tłum odbiega w inną stronę, pociągnięty nową sensacją, nie troszcząc się więcej o przedmiot swój poprzedniej zabawki, czy zajęcia.

Jedna piłka upada, a druga buja znowu w powietrzu, tryumfując nad tamtą; za chwilę wznosi się trzecia, niekiedy jednocześnie z kuglarską zręcznością kilka ich wyrzucanych w powietrze sprawia na razie zamęt, publiczność rzuca oczyma na wszystkie strony i w końcu poświęca swą uwagę tylko tej jednej, którą najręściej, najwyżej i najefektowniej podbijać umie — pałeczka redaktorska.

Tych piłek, które wyrzucała prassa a któremi krócej lub dłużej bawiła się publiczność, leży mnóstwo na rozmaitych polach; niekiedy wraca się po nie, gdy na razie zabraknie nowej, ale najczęściej zapomina się o większości ich i nie patrzy nawet pod nogi.

Nie chcę twierdzić, że dzieje się tak zawsze, ale bywa tak bardzo często, i ztąd mamy tyle tych spraw na publicznej wokandzie, tyle tych kwesty na porządku dziennym, sztucznie, zewnątrz, bez uwzględnienia chwili, stanu, usposobienia, przygotowania, środków ogółu—są narzucane szerszym kołom.

Tym efektownym, ale nie zawsze praktycznym manewrem nie załatwia się żywotnych spraw społecznych a przeładowaniem porządku dziennego, wyzyskiwanie ich dla sensacyjności w danej chwili więcej szkody, niż pożytku przynosi.

Prassa na swoje usprawiedliwienie ma ważny argument, że musi być odbiciem bieżącej chwili,

kalejdoskopem życia publicznego; prawda, niech też zajmuje się wypadkami, faktami, objawami, ale niech z nich zanadto pochopnie nie urabia „kwesty,” niech niemi zbyt często nie rozstrzela uwagi ogółu, a jeśli to czyni, niechże zbyt szybko nie pozbywa się swoich własnych dziełek, gotując im los opuszczonych podrzutków.

Możnaby jeszcze bardzo długo i bardzo obszernie rozwodzić się nad tym tematem, ale czas już zająć się czemś aktualniejszym.

Do niedawna była, taką aktualnością także „kwesty” pomnika, który jesteśmy winni Szopenowi, a którą zajmowaliśmy się w melancholijnoelegijnem usposobieniu jeszcze żywiej, niż swego czasu szwaczkami, guwernantkami i niemowlętami.

Dzisiaj wszelako cała historia rodzinnego domku Szopena w Żelazowej Woli, wszystkie projekta muzeum pamiątkowego, pomnika, do którego p. Woydyga wymodelował już medalion, oglądany przez osobną delegacyą Towarzystwa muzycznego, wszystkie wykrzykniki, emocye, palpacye należą już do przeszłości i zdaje się należeć będą znowu tak długo, dopóki jakiś drugi pan Bałakirew nie zawita do Warszawy i nie zapyta nas:

— Państwo podobno jesteście rodakami niejakiego Szopena, który jest geniuszem uznanym przez cały świat cywilizowany?... czy nie moglibyście mi bez mapy i Słownika Geograficznego wskazać drogi do jego rodzinnej wioski, chciałbym tam zawieźć wieniec laurowy i złożyć go w miejscu, kędy geniuszu kolebka stała...

O Jezu, jakże się nam znowu na wstyd zbierze!

Jeśli to będzie w lecie, a lato będzie pogodne, to urządzimy znowu wycieczkę zbiorową do Żelazowej Woli i kto wie, czy nie zrobimy jakiego nowego odkrycia na miejscu, która da nam powód do długiej polemiki w kwestyi szopenowskiego domku i uszanowania pamiątek po naszych znakomitościach.

Tylko że w przyszłym roku inna sprawa zajmie zapewne naszą uwagę; oto 20 Czerwca 1893-go przypadnie stuletnia rocznica urodzin ojca naszej komedyi, Aleksandra hr. Fredry, którą uprzedzając dr. Piotr Chmielowski, redaktor „Ateneum,” w tegorocznej seryi odczytów na korzyść Osad rolnych, wypowie z katedry swoje studium „O postaciach niewieścich w komedjach” autora „Zemsty” i „Ślubów panińskich”.

Odczyty rozpoczną się w Wielkim poście, do którego już nie daleko, gdyż nie całe dwa tygodnie dzieli nas tylko od Popielca.

Pozwalam sobie przewidywać, że zainteresują one publiczność dobiorem prelegentów i tematów; oprócz Chmielowskiego, którego żywe, czy pisane słowo zwykło budzić zawsze usprawiedliwione zajęcie, mówić będzie bodaj czy nie pierwszy raz publicznie znany specjalista ortopedyk dr. Roman Jasiński: „o konieczności pielęgnowania sił fizycznych człowieka”, dr. Zygmunt Kramsztyk: „o znaczeniu zakładów leczniczych”, dr. Henryk Nussbaum wytłumaczy nam: „co to jest choroba” a dr. Aleksander Fabian opowie: „o użyciu i nadużyciu alkoholu”.

Większość prelegentów tegorocznych składa się z uczniów Eskulapa; zajmuje się przeto z obowiązku przedmiotem tak ważnym dla każdego z nas, jak zdrowie; to właśnie jeden powód więcej, aby odczyty ich ściągnęły tłumy słuchaczy.

Urozmaiceniem tematów cokolwiek jednostronnych będzie prelekcya Zygmunta Noskowskiego, znanego szacownie muzyka i kompozytora o rozwoju muzyki: „Od Bacha do Szopena”, oraz gorliwego badacza stosunków naszego proletaryatu i klas pracujących, adwokata Adolfa Suligowskiego, który opíše nam „Powski” w Warszawie.

Zanim do sali ratuszowej napływać zacznie fala słuchaczy, płynie tam od kilku dni fala widzów, aby zatrzymać się u stóp sporych rozmiarów obrazu, który za przedmiot ma „Apoteozę Kopernika,” a za twórcę Henryka Siemiradzkiego.

Nowe to dzieło naszego mistrza przyozdobi jedną z sal w budowanej obecnie Bibliotece uniwersyteckiej u nas przy Przedmieściu Krakowskiem, jako dar pani Pankratiew, mieszkanki Warszawy, która ten obraz u artysty zamówiła.

„Apoteozą Kopernika” z natury tematu i z konieczności musiała być waryacją motywu tylokrot-

nie już w sztuce obrabianego, — trudno też było coś nowego w tym kierunku wymyśleć; widzimy tu popiersie naszego genialnego astronoma uwieńczone przez sławę, widzimy allegoryę nauki i upostaciowanie ludu, z którego wielki mąż wyszedł.

Wiadoma rzecz, jak Siemiradzki maluje postacie kobiece, jaki wdzięk kształtów i oblicza umie im nadawać, z jaką charakterystyką i urokiem klasycznego piękna je odtwarza.

W „Apoteozie” oprócz jednego mężczyzny a raczej połowy jego, i to w brązowym popiersiu tylko, widzimy trzy kobiety, wśród których nie dla samej wiekowej czci wartoby było się znajdować.

Część dochodu z wystawy tego obrazu przeznaczoną została na zwiększenie funduszu budowy własnego gmachu dla Towarzystwa zachęty sztuk pięknych.

Boże, cóż to za długi tytuł dla rzeczy jeszcze tak krótkiej!... ten fundusz bowiem będzie musiał narastać jeszcze nie mało, zaczęć wystarczy na pokrycie kosztów projektowanego pałacu, w którym znajdzie pomieszczenie „Salon” warszawski.

Dla zwolenników bardziej romantycznych, niż klasycznych tematów w sztuce, wystawiono inny obraz; twórcą jego hiszpański malarz José Garnelo, znany u nas poprzednio tylko z reprodukcji świetnej „Matki Gracchów,” pomieszczonej w noworocznym numerze „Tygodnika ilustrowanego.”

Oryginał, jaki obecnie oglądać mamy sposobność w Salonie zachęty, przedstawia „Przerwany pojedynek;” nie jest to również temat bardzo świeży, obrabiali go Francuzi, choćby tylko od Gérôme’a począwszy, na rozmaite sposoby, — obrobił go też Hiszpan po francuzku, jak gdyby ilustrował jakiś epilog z powieści Feuilleta.

Oto na skraju lasu widzimy dwóch panów ze szpadami w ręku, którzy mają się za chwilę rzucić na siebie i zmazać krwią jakąś krzywdę honoru i serca, ale zanim zdołali skrzyżować broń, zaturkotała na drodze karetka, a z niej wypadły dwie damy w balowych strojach i jakiś siwy jegomość.

Trójca ta przerywa pojedynek, rozzbraja moralnie i fizycznie jednego z zapaśników, podczas gdy drugiego w oddaleniu starają się uśmierzyć sekundy danci.

Niewątpliwie scena dramatyczna i efektowna, chociaż w szczegółach niedopowiedziana; nie wiadomo kto, dlaczego, jakim prawem miesza się do tego pojedyńku, ale o to w obrazie nie chodzi.

Czy to będzie żona, kochanka czy siostra, która się rzuca na szyję jednemu z uzbrojonych mężczyzn i swoją pierś go zasłania, to wszystko jedno; zawsze widz zrozumieć musi, że miłość w tej kobiecie uosobiona miesza się w tę honorową sprawę i że jej zakłęcia zwyciężyły obrażoną dumę mężczyzny.

Obraz sprawia efekt zamierzony, zajmuje — a to rzecz bardzo ważna. Pod względem techniki podziwiać trzeba świetny rysunek figur prawie naturalnej wielkości, ich doskonałą charakterystykę, ugrupowanie, nastrój psychiczny; jednakże strona malarska, koloryt, traktowanie tła, oświetlenie pozostawiałoby więcej do życzenia w dziele artysty, który jest synem krainy słońca i barw gorących.

Nie wiem, co o obrazie Garnela mówią zwolennicy realizmu, naturalizmu, impressjonizmu i innych-t. p. izmów w nowoczesnej sztuce, ale przypuszczam, że widząc zajęcie, z jakim publiczność przypatruje się temu — p. Witkiewicz powiedziałby: „podle, skandalicznie namazanemu płótnu,” zastanowić się znowu powinni nad znaczeniem idei, pomysłu, tematu, choćby tego pogardzonego „literackiego motywu” w obrazach.

Dążąc jedynie i uparcie tylko do odtwarzania najwzorniejszego samej natury, nowocześni realiści ukrewili bież sami na siebie.

Oto zagranicą w ostatnich ilustracyach niemieckich spotkałem nowość, która wyplata figla panom rysownikom i malarzom, wyrzekającym się „dla dobra sztuki” wszelkiej oryginalnej pomysłowości; powiedziano tam sobie tak:

— Ci panowie od kopiowania natury pędzlem czy ołówkiem obchodzą się bez pomysłowości, my się możemy obejść bez nich, bez ich talentu, ich współpracownictwa i taniej nam to wypadnie. Od czegoż mamy dobrych fotografów i czułe klisze emulsyjne?... Nastawimy aparat na pierwszą le-

pszą scenę z życia, wraże potrzeby ułożymy sobie „obraz z żywych osób,“ zrobimy zdjęcie, przeniesiemy na drzewo i każemy naszym xylografom wykonać z tego staranny drzeworyt.

Dictum-factum. W ilustracjach niemieckich ukazały się już takie rodzajowe obrazki z natury, zdejmowane z amatorstwa przez fotografów przygodnych i, niestety, przyznać trzeba, że sprawiają lepsze wrażenie od wielu „obrazków“ tworzonych na stalugach pędzlem artysty, któremu „zasady“ nie pozwoliły nauczyć się wprawie poprawnie rysować, zanim się wziął do malowania, ponieważ kształcił się na malarza a nie na rysownika, ilustratora z szykiem i t. p.

Skoro sztuka nie zechce nie innego tworzyć, tylko pospolitość podpatrywaną mniej lub więcej zręcznie z natury, a nawet mniej, niż ta natura dla myślącego obserwatora i prawdziwie artystycznego umysłu przedstawia, w takim razie będzie się można obejść bez takiej twórczości i czerpać wprost z samej natury.

Rozumowanie bardzo proste a konsekwencye niebezpieczne dla panów artystów, którzy w swoje dzieła nie z siebie tchnąć nie potrafią.

— Nie bój się pan, — słyszę ironiczną uwagę jednego z naszych impresyonistów *quand même* — pobijemy naturę, dając coś takiego, czego ona nigdy nie wytworzy: fioletowe twarze, pomarańczowe niebo, żółte drzewa, zielony śnieg i niebieską trawę. Aha?... niech mi to zrobi natura!..

Natura tego nie robi, bo ona jest logiczniejszą od malarzy, którym się w głowie przewróciło.

Panowie, powtarzam, strzeżcie się odtąd fotografów!..

W zeszłym tygodniu złożono do grobu jedną z najbardziej popularnych w swoim czasie osobistości Warszawy; z ósmym krzyżykiem na barkach, ciężarem sędziwego wieku obarczony, głuchota od lat kilkunastu dotknięty, w domowym zaciszu schowany, położył się wreszcie do trumny ś. p. Karol Kucz, ongi po Dmuszewskim a przed Szymanowskim, długoletni redaktor „Kuryera Warszawskiego“, następnie założyciel „Kuryera Codziennego“.

Nieboszczyk należał do pokolenia ludzi i dziennikarzy starej daty, rozumiał i odczuwał wybornie znaczenie, charakter i cele pisma brukowego; pod jego kierunkiem też „Kuryer“ był właściwie owym popularnym „Kuryerkielem“, który nie miał żadnej pretensyi do tytułu jakiegoś organu opinii publicznej, starał się zaspakajać ciekawość szerokiych warstw czytelników, zajmować ich i bawić nowinkami, trzymać się umysłowego ich poziomu i służyć jak najlepiej sprawie publicznej w swoim nie zbyt szerokim zakresie.

Na owe czasy i dziennik taki, i redaktor jego odpowiadał najzupełniej warunkom i potrzebom chwili. Z rozwojem prasy, z podniesieniem się jej poziomu, z naśladownictwem ruchu zagranicznego na tem polu, wymogi czytelników się zwiększyły: prasa się pogłębiła, spoważniała, i wtedy nieboszczyk Kucz skończywszy swoją rolę, bardzo niegdyś wybitną, zeszedł ze stanowiska, odstępując swe miejsce młodszemu.

Człowiek to był uczciwy, zacnego serca, wielkich zalet towarzyskich, które mu jednały sympatyą i przyjaźń we wszystkich kołach i sferach Warszawy, od warsztatu rzemieślnika do salonu arystokraty... Wyborny zawsze humor, pogodny umysł, łatwy dowcip, talent improwizatorski i to, co Francuzi nazywają *esprit d'à propos*, czyniły go jednym z najmiłszych towarzyszy; wielka uczynność i filantropijne uczucia, które dla biednych tętniły zawsze jego dobre serce, wyrobiły mu szeroką popularność i uznanie.

Pisał nie wiele, ale był tym typem redaktora, który umiał zainteresować ogół swoją osobistością, swojemi stosunkami i wpływami, nadać pismu pożyteczność i miał prawo zparafrazować wyrażenie Ludwika XIV-go, mówiące: — „Kuryerek“ — to ja!..

Dobra pamięć Warszawy pozostanie u jego cichej mogiły.

Quis.

ROSA.

Przekład z Suly Prudhomme.

Mrok był... marzyłem, a tu krople rosy
Dolinę całą usrebrzyły w koło.
Jakże ją cicho spuściły niebiosy
Na traw kobierce i na drzewin czoło!...
I z kąd się wzięły owe krople drżące,
Gdy chmurki żadnej niema na błękiecie?
Promiennym blaskiem zachodziło słońce
I mrok otulił cicho wszelkie życie...

W powietrzu było to, co rosę tworzy...
I z tobą biednym podobnie się stało:
Gdy się wpatrzyłeś w ten cichy świat boży
Od skrytych tęsknot serce zabolalo,
Lza się cichutko wykradła zpod powiek.
I tak się nieraz z smutnem sercem dzieje!
Bezwidne żale nosi w piersiach człowiek,
Gdy raz za sobą zostawi nadzieję.

M. I.

NIĘWOLNICA.

POWIEŚĆ

przez

Bronisława Grabowskiego.

(Dalszy ciąg).

XIII.

Kołoszewiczowa siedziała przy biurku i liczyła pozostałe jej pieniądze. W pierwszej chwili ogarnęło ją przerażenie, że aż zaćmiło się jej w oczach, ale rzuciła okiem na kręcącą się po pokoju córeczkę i oprzytomniała odrazu.

Poczuła w sobie dziwną rezygnacyą i pomyślała, że na początek sprzedawać będzie rzeczy, których jeszcze dość jej pozostało, a potem zabierze dziecko i pójdzie do służby na gospodynię, klucznicę, w ostateczności na pokojówkę lub praczkę.

Wtem otwarły się drzwi i do pokoju wszedł Talski.

Na jego twarzy przebijał się smutek i niepokój — widać było, że szedł z myślą niesienia pociechy i pomocy, ale miał w sercu obawę i niepewność, jak się wziąć do rzeczy. Widok spokoju i rezygnacyi na obliczu wdowy przejął go zdumieniem.

— Cóż to ma znaczyć? — pomyślał sobie. — Czyżby istotnie pocieszyła się tak prędko?

Przez chwilę zapanowało w jego sercu niekorzystne usposobienie dla kobiety, co tak niespodziewanie ze stanu, przypominającego skamieniała z bólu Niobe, przeszła w zwykły stan gospodyni, obliczającej swe zasoby. Wszelako Talski wnet otrząsnął się z tego.

— Chwała Bogu — pomyślał — będzie można pomówić z nią o interesach.

Przypomniał sobie, idąc tutaj, jak nieboszczyk mówił mu pewnego razu:

— Gdyby mi poddawali wszyscy, za których w życiu poręczyłem, a potem płacić musiałem, byłbym dziś jeszcze bogatym człowiekiem.

Myśli odzyskania tych pieniędzy chwycił się, niby rozbitek odłamka masztu, i myśl tę wyjawiał wdowie.

Kołoszewiczowa pokręciła tylko głową.

— Poręczał — mówiła smutnie — za każdego, kto umiał serdeczniej przemówić, poprosić... ztąd nadużywano jego dobroci. Mamy u siebie cały pęk cudzych weksli, popłaconych przez niego; ale na co się to wszystko zdało?

— Kto wie... kto wie?

— Poręczał nawet za takich, o których dobrze wiedział, że ani odrobiny sumienia nie mają. Pamiętam, jak opowiadał o swoim kolledze Tretkowskim, że ten, będąc synem bogatych rodziców, przed samym egzaminem pożyczyl piętnaście rubli od kolegi swego, syna stolarza, utrzymującego się z korrepeytycyi. Tretkowski potem stracił schedę po ojcu, coś około czterdziestu tysięcy, na bachanaliach szampanem zlewał podłogę, aby kurzu nie było, ale biedakowi jego piętnaštu rubli nie oddał. Pomimo to i za niego poręczył i, rozumie się, zapłacił.

— Pamiętam dobrze Tretkowskiego, ale wie pani, że to dziś pan, co się zowie.

— Jakto? przecież stracił wszystko co do groszka? Czas jakiś był pisarzem przy fabryce.

— Ale dostał grubą spadkę po ciotce i dziś nawet dobrej opinii używa... Niech-no pani te wexle pokaże.

Wdowa poczęła otwierać szufladki biurka jedno po drugim, aż w końcu znalazła cały pęk papierów, związanych szpagatem. Talski przeglądał jeden po drugim.

— Budnias... znam go, znam, ma dziś dom w Warszawie, dostał go za żoną w posagu. Napiszę do jego teścia... Gielk... tego nie znam...

— Przeniósł się na Podole... tu ołówkiem zanotowałam jego adres... Czarkówka pod Winnicą...

— Tretkowski... no, dokąd pisać, wiem dobrze... Olszszakowski...

— Ten przepadł jak kamień w wodę.

— Burko?

— Mieszka pod Krasnystawem; na wexlu jest adres.

I tak przebiegli wszystkie papiery. Po ostatnim Kołoszewiczowa załamała ręce.

— Tyłu ich tutaj, a wszyscy bywali w naszym domu, ściskali nieboszczyka, mnie w rękę całowali, Stasię pieścili, dawali jej cukierki. A dziś wyprą się, że nas kiedykolwiek znali w życiu!

— Nie traćmy nadziei — mówił Talski. W cichym, głuchym głosie brzmiało coś, co wskazywało, że i on tej nadziei nie miał weale.

Pomimo to zabrał się rażno do dzieła. Do wszystkich owych dłużników, o ile adresy ich były mu wiadome, napisał listy, nader wymownie przedstawiające położenie wdowy i sieroty i odwołujące się do ich sumienia. Tymczasem w tajemnicy przed żoną zaciągnął pożyczkę dla Kołoszewiczowej, poręczając za nią solidarnie.

Tydzień minął od wyprawienia listów, drugi już zbliżał się ku schyłkowi, a tu znikąd odpowiedzi nie było.

— Należało się tego spodziewać — mówił Talski w duszy, zwieszając smutnie głowę. Kołoszewiczowa, oddająca się zwątpieniu, pocieszał tem, że ludzie u nas nie skorzy są do odpisywania na listy, że ani chybi w tym lub owym sumienie obudzić się musi.

Sam jednak nie poddawał się złudzeniom; miał to przekonanie, że ludzie, którzy wobec własnego honoru i uczciwości nie poczuli się do obowiązku, nawet wobec majestatu nieszczęścia do niego się nie pocują.

Jednak mylił się trochę. W trzecim tygodniu nadeszły listy od Burki i Gielk... Obydwaj usprawiedliwiali się niezbyt pomyslnym obrotem interesów, ale zobowiązywali się pod słowem honoru, że będą długi swoje spłacać ratami. Z innych dłużników nie odezwał się ani jeden więcej.

Te skąpo płynące, a raczej kapiące środki bynajmniej nie mogły dać utrzymania wdowie i sierocie. Talski liczył trochę na pomoc z robót kobiecych, do których pani Józefa miała wiele zdolności i wprawy, ale w Płonniczu było tyle magazynów i pojedynczych szwaczek, że nowa współzawodniczka niewiele spodziewać się mogła. Nie podobieństwem było myśleć o pomaganiu osobistym: temu sprzeciwiała się szlachetna duma wdowy, a przytem Talski całą pensyą oddawał żonie, a ta nie popuściłaby z rąk ani grosza na żadne cele filantropijne, tem więcej, że z zasady wszelkie zajmowanie się cudzemi sprawami poczytywała za... niedorzeczność. Słowa senatora, wyrzeczone przed ślubem jej z Talskim, na dobrym gruncie się przyjęły.

Pan Justyn był tak zgnębiony poczuciem swej bezradności wobec położenia nieszczęśliwej rodziny, iż wpadł w posepną zadumę, która zwróciła na siebie uwagę żony.

— Co tobie jest? — pytała więcej przez ciekawość niewieścią, aniżeli przez szczerze współczucie.

— Nic... nie — odpowiedział Talski niecierpliwie.

— Czy ci co dolega? Może masz jakie zmartwienie?

Pan Justyn chciał już żonie powiedzieć wszystko, ale powstrzymał się. Przypomniało mu się żywo wszystko, co od niej był usłyszał wtedy, gdy ją nakłaniał do wzięcia do domu utalentowanej sierotki, wszystkie owe oburzające sofistata, na wypowiedzenie których jedynie kobieta się odważyła. Przeląkł się nowego prądu w tym rodzaju i głębi jego duszy zamknęła się tem szerszej, im więcej owa tajemniczość podniecała ciekawość pani Waleryi. W Talskiej zbudziło się niejasne podejrzenie, którego nawet sformułować sobie nie umiała, a wyraz niezadowolonia, chęci przeniknięcia tajemnicy, zgrozą przejmował pana Justyna. Ktoby, wprawny w odczytywanie przejawów dusz ludzkich, patrzył z boku na obojga małżonków, poznałby bez trudu, jak daleko obie te dusze były od siebie, oraz, że długoletnie pożycie ze sobą zamiast zbliżyć, jeszcze je bardziej oddaliło od siebie.

Talska miała w sobie tyle złośliwej dumy, iż zapanowała nad wzbierającą nadmiernie ciekawością swoją i nie dopytywała się więcej, ale doskonale to sobie odkarbowowała w pamięci. Mąż zrozumiał jej nagły odwrót, serce jego przepęliło się bolesnym przecuciem.

— Nie, ona mi nie przebaczy zajęcia się wdową i sierotą — pomyślał sobie i gorzko wezbrała w nim do tego stopnia, iż poczuł ją nawet w ustach. — Eh, mniejsza o to, obowiązek każe nie opuszczać nieszczęśliwych, a nikt nie ma prawa powstrzymywać mnie i hamować.

W tem niewesołym usposobieniu poszedł do Kłoszewiczów. Panią Józefę zastał czysto ubraną, jak zwykle, zajętą szyciem białiny na maszynie, a Stasia siedziała obok niej także z robótką w ręku. Wdowa wstała żywo i serdecznie wyciągnęła rękę do Talskiego.

— Dostałam trochę roboty — mówiła tonem niemal wesołym — i jakoś niegorzej mi idzie. Może ludzie przekonają się i do mnie i uwierzą, że nieostatnią szwaczką być potrafię.

— A tymczasem dłużnicy...

— Zlituj się nad nami i odpisz, że nam nie oddadzą ani grosza.

— Ależ, droga pani...

— Nie ludźmy się napróżno. Kto to w dzisiejszych czasach płaci długi, jeśli go do tego sąd i komornik nie zmuszają!

— Czyż pani jest tego przekonania, że już w ludziach całkiem zamarło sumienie?

— Jeśli w kim jakaś reszka się kołatała, to dał znak życia... Burko i Gielk odezwali się przecie. Inni...

— Do tych innych weźmiemy się drogą sądową.

— Na której nie nie wskóramy. Ja przestałam już myśleć o tem wszystkim. Po co niemożliwymi złudzeniami i nadziejami utrudniać sobie ratunek w ciężkiej doli? Muszę dziesięciu palcami wyżywić siebie i córkę, a więc... puszczać je w ruch, będę szwaczką, a nie, to pójdę do służby. Kto potrafił niegdys rozkazywać, niechże się teraz słuchać rozkazów nauczy. Jednego mi tylko będzie żal, iż niepodobna myśleć o wykształceniu Stasi... ale... cóż robić?...

Tu wysiłek meztwa i rezygnacji opuścił nagle wdowę, głos jej zamarał w piersiach, lzy wystąpiły w oku i zdawało się, że wybuchnie gwałtownym płaczem. Zapanowała jednak nad sobą nowym wysiłkiem woli i usiadła spokojnie, prosząc gościa, aby także usiąść raczyl.

Talskiemu w głowie się kręciło, ból niezmierny ścisnął mu serce, w oczach czuł jakieś palenie, jak gdyby sprawiło mu przykrość patrzenie na tych dwoje istot, skazanych na żebractwo niemal dole. Nigdy jeszcze nie dolegała mu tak fatalnie bezsilność i brak środków. Siadł i milczał chwilę; zdawało mu się, że ma sen okropny, że widzi w nim

dwie istoty, które toną, które wyciągają ręce do niego, wołając o ratunek, a on podać im ręki nie może, bo... bo... nie może nią ruszyć, jakby paraliż ubezwładnił jego członki.

Otrząsał się i rzekł:

— Jeszcze raz do nich wszystkich napiszę, ale już z innego tonu. Dam im poczuć, że się do nich inaczej weźmiemy. A z Tretkowskim nie robmy ceremonii: co prędzej pozew, bo z takimi paniczami innej rady niema.

W domu Talskiemu Pelasia wręczyła bilet wizytowy, na którym ze zdumieniem wyczytał nazwisko: „Kajetan Tretkowski.“ Zezowata dziewczyna uśmiechała się przytem tym zagadkowym uśmiechem, który zawsze tak drażnił Talskiego.

— Tretkowskim! — zawołał — kiedyż on był tutaj?

— Przed kwadransem, nie więcej — odpowiedziała Pelasia.

— Gdybyś był nie wychodził z domu, Bóg wie dokąd — dorzuciła pani Walerya — byłbyś się z nim widział i rozmówił.

— Czemużecie go nie zatrzymali do mego przyjęcia? — rzekł niecierpliwie Talski.

— Albo ja mogłam przewidzieć — mówiła Talska — że spódoła ci się wrócić tak prędko? Mówił, że ma do ciebie, ale tylko do ciebie samego, ważny interes, więc o czem mielibyśmy rozmawiać ze sobą?

— Powiedział, że będzie czekał na pana w cukierni — dodała Pelasia i zaśmiała się.

Talski nie wytrzymał.

— Moja Pelasiu — rzekł niecierpliwie — masz brzydki zwyczaj śmiania się, kiedy niema z czego.

— Czegoż bronisz jej niewinnego śmiechu? — ujęła się za Pelasią Talska. — Czy ci to co szkodzi, że się dziewczątka niekiedy roześmieje?...

— Dziwna rzecz, iż śmieje się wtedy, kiedy widzi czyjąś przykrość lub zakłopotanie.

— A zkądże ona wiedzieć może, iż wizyta tego jakiegoś jegomości martwi cię, lub kłopot ci sprawia?

Talski nie odpowiedział nic, wziął tylko za kapelusze. Odwrócony tyłem, nie widział Pelasi, ale przecucie mu mówiło, że za plecami język mu pokazała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

(Dokończenie).

Paryż, d. 3 Lutego 1892 r.

Burzliwy i smutny koniec starego — i początek nowego roku. — Cmentarze paryżkie. — Groyby i nagrobki. — Jak pędzą umarli! — Śmierć Bulwera-Lyttona ambasadora angielskiego. — Don Pedro d'Alcantara, Cesarz Brazylijski. — Alphand, naczelny inżynier stolicy. — Albert Wolff, dziennikarz i krytyk. La Pommerais, konferencyonista. — Sprawa ks. Arcybiskupa z Aix w Prowincyi. — Morderstwo w biały dzień. — Zabójstwo pani Dellard; oficer zabójca; potężne wrażenie tej zbrodni miłość i szacunek dla wojska. — Guy de Maupassant; neuropatya, atawizm itd. Gdzie są prawdziwe przyczyny? — Posiedzenie policzkowe (Séance des soufflets) Izby poselskiej. — Minister Constans i Deputowany Laur. — Posiedzenie Akademii Francuzkiej. — Przyjęcie nowego akademika; PP. Freycinet i Gréard.

Śmierć ks. Biskupa Freppela tem dotkliwiej dała się ucać we Francyi, że z nim znika ze sceny gorliwy i dzielny obrońca sprawy Kościoła. Wiece już z dzienników waszych i obcych o owym zatargu w Rzymie pomiędzy pielgrzymami klasy robotczej we Francyi i miejscową policją.

Nie dziwnego, że w głośnie awanturze zaszedł w Panteonie Agryppy rząd francuzki starał się o złagodzenie tej sprawy, i że minister wyznał w liście okólnym do biskupów francuzkich nalegał na potrzebę umiarkowania tych manifestacji *extra muros* i złagodzenia wszelkich objawów mogących dać powód do zatargów między państwowych.

Na ten list okólny ministra ks. arcybiskup z Aix w Prowancyi odpowiedział dość cierpkim

listem, który, chociaż sprawiedliwy w gruncie rzeczy, grzeszył jednak gwałtownością formy i wyrażeniami zbyt nieparlamentarnymi. List ten, przyjęty z uniesieniem przez całą prasę zachowawczą, zadziwił trochę sfery rządowe. Ks. Arcy-Biskup Gouthe-Soulard był właśnie *persona grata* i wyniesienie swe z prostego proboszcza na katedrę arcybiskupią zawdzięczał żywiołom republikańskim.

Chcąc uniknąć wątpliwego wyniku sprawy przed sądem przysięgłych, rząd pozwał arcybiskupa przed sąd policyi poprawczej, gdzie potępienie nie ulegało żadnej wątpliwości, za znieważenie urzędu. Tak się też stało: pomimo obrony zręcznej i wymownej samego oskarżonego, arcybiskup skazany został na grzywny (2.000 fr.), które zaraz pokryła składka wywołana przez dziennik *Figaro*, w formie protestacyi opinii publicznej — i to spowodowało powtórne pociągnięcie przed sąd, tym razem już tylko zbyt śmiałego dziennika.

Dzięki wspólnemu wpływowi całej prasy republikańskiej sprawa ta, stłumiona w zarodku, nie wywarła takiego wpływu, jakiego spodziewało się stronnictwo klerykalne i w ogólności zachowawcze. Jedynym następstwem było wielkie rozgoryczenie wszystkich żywiołów lewicy w Izbie poselskiej i w sferach rządowych, — i jakby wyzywające wywieszenie sztandaru opozycyjnego w sprawie rozdziału Kościoła od państwa, obalenia konkordatu zawartego ze stolicą Apostolską przez Napoleona I-go — a więc wskrzeszenie zatargów i jakby odnowienie sławnego *kulturkampf*u niemieckiego.

Przy dzisiejszym stanie umysłów we Francyi jest to rzecz smutna i nieszczęśliwa. Właśnie gdy tu potrzeba jedności i zgody — staje się gwałt i rozerwanie. Sprawa konkordatu zagraża jeszcze interpellacyami w Izbie; wielką też stratę poniosła prawica przez śmierć ks. Biskupa Freppela, który do takich zapasów był jedynym.

Cały zatarg i wszystkie jego następstwa, jakie się już dały ucać i jakie mogą się wywiązać na przyszłość, pokazują jasno jak wielkie i powszechne jest rozprężenie wszelkich zasad moralnych we Francyi. Stan ten staje się coraz groźniejszym, pod naciskiem żywiołów socjalno-anarchicznych — a wypadki codzienne prawie stanowią drogowskazy, dokąd to nas prowadzi.

Ostatnie morderstwo popełnione na dwóch kobietach w dzień biały — w jednej z najludniejszych i najruchliwszych dzielnic Paryża — jest właśnie jednym z tych przerażających drogowskazów. To też odnalezienie zabójcy, przytrzymanie i jego własne wyznania zajmowały wszystkich. Mówię o zamordowaniu pani Dellard i jej służącej przez niejakiego Anastay'a, podporucznika piechoty. Zabójca, będąc protegowanym przez syna nieszczęśliwej ofiary, przyjechał umyślnie z Londynu do Paryża w celu zamordowania i okradzenia pani Dellard, wiedząc dobrze, że ją samą tylko zastanie w domu, bo syn, protektor jego, całe dnie spędza w swem biurze jako urzędnik ministerium wojny.

Plan osnuty przez zoczyńcę nie powiódł się wecale; zjawienie się nagle służącej, jej opór i obrona, zmusiły go do ucieczki bez żadnego skutku spodziewanej kradzieży. Zbrodniarz zostawił tylko za sobą dwie ofiary, z których jedną, służącą, utrzymał przy życiu.

Zbrodnie tego rodzaju nie są, niestety, rzadkie w Paryżu ale spełniona w dzień, jak mówiliem biały, przy Bulwarze du Temple — zadziwia swem zuchwalstwem. Był tu przecie jeszcze inny powód, iż odebrane wrażenie wstrząsnęło umysłami wszystkich: po zatrzymaniu zabójcy, pokazało się, iż to był oficer.

To też skoro się o tem dowiedziano, nie było, można powiedzieć ani jednej duszy, która-by nie ucała tego okropnego wrażenia, tak dotkliwego dla ludzi tutejszych — gdy musiano sobie powiedzieć, że zbrodni dopuścił się oficer!

To powszechne wzruszenie świadczy dostatecznie, o tej miłości i czei, jakiej tu używa wojsko. Dotąd przykład takiego występku, jest prawie jedyny, a jeżeli ten cios dotknął każdego — to dlatego, że każdy nosi w swem sercu coś, co jest umiłowanem wojska. Świadczy to lepiej, niż wszystkie dzienne rozkazy, jakie uczucie ożywia naród!..

Każdy też stara się jaknajmniej mówić o całej

zbrodni, jakgdyby tym wyjątkowym wypadkiem każdy był dotknięty w swym honorze i w swojej rodzinie. Przynosi to zaszczyt narodowi i wojsku zarazem. Jest to ostatnia może kotwica ich zbawienia!

Ten nędzarz, który zamordował matkę swego dobroczyńcy — zamordował, aby okraść, ukrywał się pod tym mundurem francuzkiego officera jak pod najlepszą maską. Jest to już więcej, niż zwyczajny zbrodzień!.. Występek jego daje, jak mówiłem, złowieszczy drogowskaz — a wyraz powszechnego oburzenia, jakie wywołał, rzuca ową ostatnią kotwicę zbawienia.

Ta powszechna żądza obronienia wojska od cienia nawet podejrzeń stała się powodem, że w tym zbrodniczym zamachu podporucznika Anastay'a chciano koniecznie widzieć bezwiedny występki waryata. Od pewnego już czasu panuje tu dążność do znajdowania we wszystkich sferach społecznościami ludzi porwanych namiętnością i spełniających pod jej wpływem tak zwane zbrodnie namiętnościowe — *crimes passionnels*. Jest w tem zapewne cząsteczka prawdy. W głowie każdego zbrodniarza po większej części panuje widocznie pewien rozstrój moralny — ale zład do wniosku — *ergo*: każdy zbrodzień jest nieodpowiedzialny — niezmiernie jeszcze daleko...

Ta nieodpowiedzialność jest ciągle jeszcze w modzie, tutaj szczególnie. Są ludzie, którzy wszędzie widzą jej posiew — i nie zadając sobie pracy rozbierać i analizować, często zaś dostępne wypadki życia, każdego z tych ludzi, co zbaczą z prostej drogi — znajdują daleko łatwiejszem, wytlómaczyć to wszystko tem przypuszczeniem, że to jest skutek neuropatyki czy successyjnego obłądnu.

Mamy tego świeży a bolesny przykład na znanym i wziętym pisarzu Guy du Maupassant. Zapewne dziś już niema wątpliwości, że stan umysłowy jego jest rozpaczliwy. Umieszczony w tak zwanym *Maison de Santé* doktora Blanche'a, jest Maupassant, bez gwałtowności, w swoim spokojnem rozmarzeniu skazanym prawie nieodwołalnie.

Ale przypomnijmy sobie, jaka to była młodość, życie na tym bruku paryzkim, gdzie talent i wszelka zdolność umysłowa tak straszliwy znajduje pokarm, aby nasycić wszystkie a wszystkie żądze. Jeżeli dodamy do tego nadmiar pracy umysłowej, nadużycie sił, — łatwo zrozumieć, że to nie koniec wieku temu winien, ale dzisiejszy ustrój naszej społeczności, która od lat najmłodszych otwiera naościż wrota niczem nieograniczonej swobody.

Dosyć rzucić okiem dokoła, rozpatrzyć się w życiu tutejszych studentów. Nie nadmiar pracy, ale nadmiar użycia — sprowadzający i zużycie sił żywotnych — zabija młodzież francuzką i tak groźnie występuje w statystyce ludności Francji. Bezład w życiu, rozwichrzenie żądz, burzliwość uczuć: temi drogami wkracza śmierć przedwczesna porywająca talenta i umysły nawet podnioslejsze, ale nie uzbrojone w zasady etyczne, w silną wolę i rozsądny instynkt zachowawczy.

Nie też dziwnego, że słyszymy ze wszech stron wznoszące się głosy: „Obłąkanie! obłąkanie!“ Niestety, otacza nas zewsząd, zalewa nas jak powódź, ścisła i prze nas zabój: bacność! bacność!

Kilka lub kilkanaście razy rok rocznie dowiadujemy się, że obłąkanie porwało nową jakąś ofiarę wśród falangi tych, co stali na przodzie, na czelu. Zwykle jest to aktor albo literat, rzadziej artysta malarz, a jeszcze rzadziej kobieta — może dlatego, że w malarstwie i zajęciach kobiecych jest pewien zasób roboty ręcznej, w której myśl wypoczywa. Najrzadziej pada ofiarą człowiek polityczny, bo życie czynne, rozplątywaniu choćby nie wiedzieć jak splecionych węzłów poświęcone, gdyby nawet przynosiło bezpłodną działalność, zawsze jeszcze dobroczynnie działa na mózg człowieka.

Pięciu do sześciu ludzi do roku — to ogrom; kiedy się rozważy, że chodzi tu jedynie o ludzi znakomitych, i że dzienniki mówią tylko o wypadku kompletnego, zupełnego obłąkania. Dawniej były to wypadki arcy-rzadkie, literatura klassyczna była wolną od tej plagi. Jakaż przyczyna jest dzisiaj?

Powody, powody? Mówiono już o nich obszernie; mówili o nich sami nawet dotknięci tą straszną chorobą. Najpierw to dziwne życie, jakie

prowadzą w Paryżu ludzie wybitni w literaturze i sztuce. Czy myślicie, że to jest rzeczą naturalną, nie kłaść się do łóżka, jak o 2 lub 3 godzinie po północy? być ciągle pod wpływem codziennej produkcji koniecznej, przymusowej? Ta potrzeba mówienia czegoś i o czemś, chociaż niema nic do powiedzenia, a to, aby wyjść zwyczajko z walki i stanąć u mety! A na koniec, jak mówiłem, to przedwczesne zużycie, albo zbyt długo przedłużone używanie świata — bo tu wszystko ciężko okupić potrzeba.

Z tych pojedynczych wypadków tworzą się masy, gromady, które ten prąd przerywa i unosi. Dosyć przytoczyć takie posiedzenie izby poselskiej, jak to, które się odbyło d. 19 Stycznia, posiedzenie, na którym pomiędzy godziną czwartą a wpół do piątej po południu częstowano się polieczkami aż miło. Posiedzenie trwało krótko i zredukowało się do faktu, w którym pięć więcej zajęła miejsca, niż słowo.

Nie pierwszy to raz się zdarza w parlamentach: przyschnie to więc, jak powiadają, ale mniejsza o to. Minister walący w twarz oponenta — to człek pięknej tuszy i wzrostu, w sile wieku, podrażniony interpellacją bulanzysty Laur'a — małego, chudego inżyniera górniczego (*Ingenieur des mines*), zamiast odpowiedzi chlasnął go po dwakroć po twarzy i kopnął nogą — na dobitkę.

Po tym miłym wstępie nastąpiła bójka powszechna. Szturhając się, bijąc i łajając, Izba wylała się na kurtytarze — poczem, wysapawszy się trochę, wrócili posłowie na miejsca, żeby oklaskami okryć bicepsa ministra spraw wewnętrznych. Oj! za prawdę — wewnętrznych!

Ów p. Laur, były bulanzysta, któremu teraz minister i trybunały odmawiają wszelkiej satysfakcji — musi pozywać Constans'a na swoją rękę, a pozew może mu przynieść *franka*, całego franka grzywnien.

Trzeba tu dodać, że p. Laur z mównicy zapytał tylko: czy ministerjum wobec artykułów Rochefort'a w dzienniku *Intransigeant* przeciw panu Constans, nie myśli wytoczyć żadnej sprawy *ex officio*!

Brzydka ta i śmieszna sprawa dla francuzkiej izby poselskiej będzie miała inne jeszcze rozwiązanie prócz prostego przejścia od polieczka do porządku dziennego. Czekajmy więc co nastąpi i jak sobie pocznie inżynier górniczy w tej sprawie, a wychodząc z tego błędnego koła, dodajmy tu słów kilka o przyjęciu w akademii francuzkiej nowego jej członka, p. Freycinet'a, inżyniera górniczego, równie jak ów nieszczęsny Laur, a dziś prezydenta rady ministrów.

Solenne przyjęcie odbyło się jeszcze w Grudniu. Minister wojny, w tym dziwnym oliwkowym mundurze akademików francuzkich w trójkątym kapeluszu, ze szpadą u boku zajmuje wskazane mu miejsce. Prezes ogłasza posiedzenie za otwarte i daje głos nowemu akademikowi. W tej wielkiej rotundzie pod kopułą dawniejszej kaplicy kardynała Mazarini'ego, pełno jak nabił, tej wyłącznej publiczności, która ma odwagę ucześnieć na posiedzeniu Instytutu, i zwykle tem głośniej przyklaskuje, im mniej słyszy co mówią.

Nowy akademik rozpoczyna obowiązkową pochwałę Augier'a, swego poprzednika — *conticuere omnes* (wszyscy zamilkli).

P. Freycinet, pomimo swe parlamentarne successa, nie jest i nigdy nie był znakomitym mówcą. Mały, chudy, siwy jak gołąb, ma reputacją zręcznego mówcy, co wiele znaczy w sprawach parlamentarnych, ale nie pod kopułą Mazarini'ego, bo i cóż nowego i ważnego mógł nam powiedzieć o Augier'ze taki inżynier-polityk? Tem gorzej dla tych, którzy powierzyli pochwalną mowę dramaturga i mistrza w swoim rodzaju — temu, kto jest obcy sprawom teatralnym i zajmuje się nimi chyba wypadkiem.

Szczupłość ram, w których się listy moje zamykać muszą, nie pozwala mi wdawać się tu w szczegółowy rozbiór mowy p. Freycinet'a; czytelnicy *Bluszczu* nie na tem nie tracą, bo ta długa oracya, w której p. minister wojny raczył się ograniczyć do pobieżnego przeglądu dzieł zmarłego mistrza, stosownie do tego, ile miał czasu poświęcić przedkiemu czytaniu dzieł Augier'a, nie szczególnie nie zawiera w sobie. Szczególnem było to, że trwała trzy kwadranse, i że licznie zebrane audytorjum,

nie zasnęło, słuchając odczytu, który go nie budził, nie porywał, wygłoszony zimno, sucho, głosem słabym, z lekkim akcentem gaskońskim.

P. Gréard, tegoroczny dyrektor Akademii, miał sobie powierzoną odpowiedź, a że p. Gréard, administracyjnie i hierarchicznie, jako vice-rektor Akademii paryzkiej — czytajcie „uniwersyetu“ — jest podwładnym prezesa rady ministrów, wiadomą było rzeczą, że jego odpowiedź będzie przyjemną panu ministrowi, a nowemu kolledze.

Tak się też stało. Po rozmaitych zwrotach zręcznej i pochlebnej elokwencji i dla Augier'a i dla Freycinet'a, p. Gréard porównał nowego akademika do Louvois, do Leibniza, do Laplace'a! Gdzież cię posadzę, mój drogi mistrzu, odkrywając w nim przymioty i zasługi, których jego kolledzy najlepsi z Izby poselskiej i z senatu, ani się domyślali nawet; inaczej nie byłoby znaleźli żadnego usprawiedliwienia, że go nie wybrali prezydentem Rzeczypospolitej w czasie ostatniego kongressu.

Nie zapomniał p. Gréard zaznaczyć dobitnie roli, jaką odegrał p. Freycinet w ciągu strasznego roku wojny — i wolał nawet przyznać jemu tylko samemu cokolwiek stało się dobrego w tej klęsce, a w przechodzie dotknął zlekka, jak przystało biegłemu mowcy, i zmarłego Gambetty, i żyjącego, a obecnego na posiedzeniu, księcia d'Aumale.

—v—

RUCH MUZYCZNY.

Po koncercie kompozytorskim p. Czajkowskiego, którym tak świetnie rozpoczęto noworoczny sezon, mieliśmy znowu jakiś czas ciszy i wyczekiwania na nowość, rozmaitość, owe podniety niezbędne do rozbudzenia ciekawości ogółu i dostarczenia materiału krytycznym pogadankom. Publiczność bowiem i sprawozdawcy mają gusta na pozór przynajmniej bardzo podobne; chodzi im zawsze o coś nowego, niebywałego! A niestety, specyjal ten wymaga trudu i przygotowania, zwłaszcza, gdy ma się ukazać na scenie naszej opery, gdzie panuje żywioł zmienny, gdzie młodzi debiutanci po prowincjonalnemu stawiają nieraz pierwsze swe niewprawne kroki. Przy takich warunkach wszechprzymiotem być musi cierpliwość a dewizą zasada: „chi va piano, va sano“. Za to potem na raz objawia się więcej ruchu i przybywa atrakcyi, jak to miało miejsce w teatrze w ostatnich dniach Stycznia i pierwszych Lutego.

Najpierw ukazała się opera Verdiego: „La forza del destino“ (Moc przeznaczenia), w której główne role podjęli pani Gini-Pizzorni, p. p. Sillich, Gambarelli, Aleksandrowicz, Dyliński. Opera ta, datująca z epoki przełomu w twórczości Verdiego, nosi tu i owdzie zarysy świetne, wybliski pięknych, technieniem talentu owianych pomysłów, lecz jako całość nie przedstawia skończonej artystycznej budowy i nie daje się zaliczyć ani już do owych dzieł w stylu czysto włoskim, przepiechnionych cantilena, której wątek z takim upodobaniem twórca rozsnuwał, ani jeszcze do dzieł w kierunku nowszym, gdzie bogata, symfoniczna niemal instrumentacja stanowi podkład do melodji bar dziej subtelnych i wyszukanych. Pomimo przeto bardzo starannego wykonania, pod artystycznym kierunkiem dyrektora Trombiniego, z pewnem znużeniem wysłuchaliśmy tej opery, której muzyka czyni poniekąd wrażenie ptaszęcia szamocącego się w pewnej przestrzeni, zanim nareszcie szerszy i swobodny lot weźmie.

Następnie mieliśmy w Teatrze Wielkim dwa z kolei przedstawienia oper, wprawdzie znanych, lecz których pojawienie się zawsze mile bywa zaznaczaniem. Były to: Beata, a następnie Halka S. Moniuszki. Wystawa pierwszej stanowi nawet pewną epokę, po raz ostatni bowiem słyszeliśmy ją jeszcze za życia jej twórcy. Beata, jest to wdzięczne cacko niemające pretensji do zajmowania poważnego miejsca w rządzie arcydzieł Moniuszki; treść lekka z sutą domieszką żywiołu komijnego, dużo parlanda, stawiają całość poniekąd na stanowisku operetkowym; jednakże tylko

poniekąd, albowiem część muzyczna o wiele przewyższa zwykłą miarę operetkowych kompozycji; tak w akompaniamencie orkiestralnym, jak w partjach solowych i wielogłosowych znać tu rękę mistrza, umiejącą a dbałą, o dotknięciu zawsze artystycznym, znać piętno myśli genialnej, która natchnieniem swoich nie zasilala nigdy mętne źródłem kompilacji a pracy nie czyniła zdawkową robotą i, pogardzając szychem, w najmniejszej okruszynie składała czyste złoto na ołtarzu sztuki. Przeto też wykonanie dzieł Moniuszki nie jest bynajmniej łatwe, i zdaje nam się, że dwaj młodzi śpiewacy: p. Berini i p. Lipiński nie trafny uczynili wybór, debiutując po raz pierwszy na scenie w Beacie. Bezustanne przeplatanie śpiewu mową, która być musi wyraźna i dobitna, kępuje swobodę głosu, nie dając mu dostatecznego pola popisu, a zarazem w obec zdwojonych wymagań słuchaczów podwójną trudność nasuwa debiutantom, jakoto: subtelne, artystyczne oddanie każdej muzycznej frazy i czystość wymowy, gdy już nie potrzeba śpiewać, lecz wypowiadać. Pan Berini w roli wieśniaka Maksa, o ile mógł, starał się dać poznać swój ładny tenorowy głos, lecz zapału i samodzielności artystycznej nie wykazał. Pan Lipiński (Hans), widocznie muzykalny, dosyć sprytnie wywiązywał się ze swej roli nie dużej zresztą pod względem śpiewaczym. Partya tytułową podjęła pani Dowiakowska (Beata) zatem nie trzeba chyba dodawać, że była w niej artystką prawdziwą i dystygowaną, jak zawsze. Panie Babińska, Lewicka i Szczepkowska, przedstawiły trójkę kumoszek z humorem i precyzją odpowiednią do ról charakterystycznych, śpiewem pełnym życia i werwy okraszając przedstawienie. Pan Dyliński przyjął na siebie komiczną postać Lorda i oddał ją wyśmienicie.

Zaraz nazajutrz w południe, na uczczenie długoletniej działalności sceniczej Leopolda Matuszyńskiego, daną była Halka, w której gościnnie wystąpili pani d'Orio i p. Stefan Wołoszko. Uroczystość chwili oraz trzechsetne sześćdziesiąte szóste przedstawienie opery ulubionej ściągnęły literalnie tłumy publiczności. Pan Matuszyński, niegdyś artysta-śpiewak, obecnie reżyser opery, był celem owacy, co to płyną szczerze z pod serca i są dowodem, że u nas umie się cenić zasłużonych i sympatycznych. Przedstawienie odbywało się wśród coraz bardziej podnoszącej się temperatury sali i—uczucie, ale nawet z chłodnego stanowiska krytyki sądząc, chętnie przyznamy, że opera szła bardzo dobrze. Pani d'Orio (Halka) posiada głos silny, i w chwilach gdy śpiew staje się dramatycznym, wstrząsającym do głębi, śpiewaczce nie brak ani akcentów odpowiednich, ani mocy i wytrwałości; w odcieniach delikatniejszych, bardziej lirycznych, gdzie głos łagodniej powinien schodzić z pewnem miękkim zaokrągleniem, pani d'Orio już nie tak się czuje na swoim gruncie. Pan Wołoszko (Jontek), z początku oszczędzający głosu, pod koniec opery rozśpiewał się swobodniej, co wpłynęło bardzo korzystnie na jasność i dźwięczność brzmienia. W ogóle z debiutu tego odnieśliśmy o wiele miłsze wrażenie, aniżeli za pierwszym razem gdy p. Wołoszko w Fauście występował, i drobne zarzuty, jakieby się znalazły, ograniczymy tylko do uwagi, że przydałoby się młodemu artyście więcej pewności w rytmice, której subtelne poczucie stanowi jeden z dowodów umuzykalnienia. Pomiędzy drugim a trzecim aktem Halki daną była scena z Don Carlosa Verdiego, którą pan Sillich odśpiewał z prawdziwym artyzmem.

Wreszcie czwartą atrakcją na scenie była Gioconda Ponchiello z panią Gini-Pizzorni w roli tytułowej i panem Gambarellim (książe Enzo Grimaldo). Wielką starannością odznaczyło się wykonanie opery, długiej, trudnej, a która nie wszędzie sama za siebie przemawia jednaka miarą piękną. Pani Gini, jak każdy z najwybitniejszych nawet artystów, posiada swe partye uprzywilejowane, lepsze, doskonalsze, a wśród nich Gioconda zajmuje naczelne miejsce. W roli tej artystka zespółiła wszystkie swe dodatnie strony, jako wyśmienita aktorka i wyborna śpiewaczka dramatyczna, już nie tylko ze swobodą, ale z zamilowaniem pewnem rzeźbiąc szczegóły, całej zaś uosobionej postaci nadając charakter jednolitości niemal posagowej, co właśnie prawdziwy artyzm sta-

nowi. Pan Gambarelli także sumiennie tym razem swą rolę wystudyował, odnajdując brzmienie głosu jasne i świeże, ilekroć wypadło mu atakować wyższe tony i akcenta silniejsze nacechowane dramatycznością; do liryzmu, do delikatnego *mezza voce* i subtelnych wykończeń, młody śpiewak ten jeszcze głosu naginać nie umie. Pan Sillich (Aloise Badoero) rzecz wiadoma, szczerze uznanie artystyczne zdobył sobie, jak zwykle. Z szeregu występujących musimy jeszcze wyróżnić panią Lewicką (Laura), która dłuższą, niż kiedykolwiek, rolę podjąwszy, utrzymała ją we właściwym charakterze i bardzo poprawnym śpiewem zaznaczyła swą pożyteczną działalność. Ale pan Chodakowski (Barnaba) to już doprawdy zdobywa sobie u nas laury, walcząc o lepsze z zagraniczną renomą; pomijając, że jest aktorem wyśmienitym, który umie przeniknąć każdą daną postać i znamieniem prawdy nacechować,—cenimy go wysoko jako śpiewaka: sympatyczne dźwięki jego głosu nabiera coraz większej pełni i jedności, a interpretacja świadczy o szlachetnej czci dla sztuki. Jest to bez wątpienia najcenniejszy śpiewak, jakiego obecnie w stałym składzie naszej opery posiadamy.

Towarzystwo muzyczne, jak zwykle, co tydzień dostarcza koncertowej muzyki swym członkom; spore tedy gronko już-to artystów chlubnie znanych, już-to amatorskich talentów występuje na jego estradzie. Nie sposób więc notować wszystko, zwłaszcza wobec programów bardzo długich i bardzo urozmaiconych o jakie starają się członkowie urządzający mniejsze środowe wieczory. Musimy zatem chwycić jedynie tylko momenta szczególnej interesujące, wirtuozostwo nacechowane wyższym stopniem artyzmu, wykonanie dzieł większych lub nieznanych. Ostatni większy wieczór Towarzystwa mieścił niemało atrakcyi, albowiem przyjęły w nim udział doborowe siły solowe i chóry. Ale oczekiwania zawiodły trochę słuchaczy, nawet gra panny Maryi Łazarowiczówny i śpiew panny Kwiecińskiej nie zadowolniły tak jak to zwykle dotąd bywało. Nie bierzemy tego za złe, panie w ogóle miewają swe kaprysy, co dopiero artystki! Najmniejsza niedyspozycja, irytacja, nietrafny dobór programu, wszystko to wpłynąć może na występ cokolwiek mniej udatny. Bardziej nas zadiwił popis p. Wysockiego, który oprócz ładnego tenoru, nie posiadając innych niezbędnych dla śpiewaka przymiotów, wybrał sobie do popisu trudną Sicilianę Mascagniego. Naturalnie przy braku rutyny śpiewaczki i nieprawidłowościach czysto technicznych, nie mógł stosownie odpowiedzieć zadaniu. Jeszcze mniej zadowolenia przyniosły chóry, którym powierzono zostało odśpiewanie pięknego wstępu z Oratorium Mozarta: „Davidde penitente“ i trzech pieśni ludowych w opracowaniu p. M. I. Sołtysa, nagrodzonych na konkursie Towarzystwa muz. Wiedząc z doświadczenia, ile pracy potrzeba ażeby chóry nauczyć śpiewać i wyraziwszy już niejednokrotnie słowa uznania dla ich starannego kierownika, ośmieliliśmy się tym razem zarzucić zbyt ni pośpiech w wyprawdzeniu chóru towarzystwa na estradę, ani bowiem dziełom ani wykonaniu na dobre to nie wyszło.

Dnia 5 b. m. odbył się koncert Bronisia Hubermana, który jako cudowne dziecię, już dał się nam poznać na jednym z wieczorów Towarzystwa. Obecnie po usłyszaniu młodzieńczego skrzypka w kilku dziełach różnego nastroju i stylu, oraz w muzyce zbiorowej, stajemy w zachwycie przed tym talentem niepospolitym, którego sądzić nie można względnie do dziecięcego wieku, ale już skalą artystyczną, i to bardzo podniosłą. Cóż bowiem żądać więcej, jeżeli interpretacja takiego np. koncertu Spohra (D-moll Nr 2), dzieła, które się zalicza do klasycznych,—jest wyborną pod względem technicznym a zarazem pełną poczucia i inteligencji, jeżeli dusza artysty przenika się głęboką poezją Legendy Wieniawskiego i trafny dlań wyraz odnajduje, jeżeli prawdziwe uczucie i zapał wytryskują z pod młodzieńczej ręki w dźwiękach melodyi Sarassatego (Taniec hiszpański). Cały program ten bogaty, wypełnił Bronis Huberman tak, jakśmy to powyżej określili, ale zaiste trzeba grę jego usłyszeć, by pojąć jej wszystkie przymioty: czystość i szlachetność tonu, frazowanie jasne, rytmiczność doskonałą i w tysiącznych odcieniach znamiona wysokiej wrodzonej muzykalności. Tu-

taj musimy zaznaczyć, że talent Bronisia Hubermana trafił na wybornego kierownika, jakim jest p. Rosen. Prowadzenie smyczka, postawienie ręki i prawidłowe wyrobienie techniki są zasługą i chlubą nauczyciela. Kulminacyjnym punktem naszego podziwu był występ Bronisia w kwartecie smyczkowym Rodego (Esdur). Mały artysta zasiadł doń jako pierwszy skrzypek w towarzystwie panów: Rosena, Noskowskiego i Cynka, i w całości tej stanowił zespolenie wyborne, zarazem jak skończony maestro odpowiadając zadaniu naczelnej swej partyi.

Świetny program koncertu urozmaiconym był śpiewem pani Ireny Vincenti, grą fortepianową pani Heleny Hochendlinger i prześlicznym wykonaniem na dwa fortepiany Impromptu Reineckiego przez panią Hochendlinger i pana Michałowskiego.

Juliusz Stattler.

List z Londynu.

Panuje tu taka atmosfera smutku i żałoby ogólnej, że nie mogłem zabrać się zaraz, jak należało do opisanie wam straty, którą poniosła nie tylko królewska rodzina Anglii, ale i kraj cały przez śmierć młodego księcia Klarency, najstarszego wnuka królowej w linii męskiej: syna księcia Walii, więc domniemanego następcy tronu angielskiego. Piękna to była młodość ze szlachetnymi instynktami uczucia, inteligentnie, rozumnie przygotowana do życia i przyszłych jego przeznaczeń przez bardzo staranne wychowanie i wykształcenie naukowe, bo młody królwiecz kończył najpierw nauki w publicznych szkołach Anglii, następnie słuchał wykładów na uniwersytecie angielskim w Oxfordzie, a potem w Heidelbergu, gdzie pozostał pod szczególnym kierunkiem uczonego historyka dziejów rzymskich, prof. Ihne, a choć nie było orli jakis umysł, że przecież nie ciężyło poziomie do rzeczy małych, do wesołego używania życia, nie szło to na marne i można było wróżyć temu młodemu istnieniu rozwój szlachetny w kierunku pożądanym.

Babka i matka: Królowa Wiktoria i księżna Wallii pilnowały tego troskliwie, aby wpływy wrażeń i uczuć podniosłych działały tu jedynie od pierwszych już dni dzieciństwa, wyznaczając wyobraźni i myśli kierunki dążeń podniosłych, a stare przysłowie francuzkie, które twierdzi, że czego chce kobieta, chce i Bóg, jest niezaprzeczoną prawdą w wychowaniu. Ludzie przypominają sobie teraz ze smutkiem ciężkim, jaka tkliwa staranność była też rozwinięta tutaj na każdym kroku. Pierwszym darem babki dla wnuka była srebrna statuetka średniowiecznego rycerza, przedstawiająca heroiczną postać męża: „sans peur et reproche“ z klasycznego dzieła literatury angielskiej: „Pilgrim's Progress“. Na planie drugim mieściły się trzy postacie: wiary, miłości, nadziei i książatko małe dostało do rąk tę kosztowną zabawkę w roku dziesiątym, skoro tylko opowiedzieć mu było można coś z dziejów bohatera, którego przedstawiała. Bardzo młodo, skoro tylko ukończył nauki, rozpoczął szkołę marynarza, wraz z młodszym bratem, księciem Jerzym, na okręcie *Brytania* i wyjąwszy tego jednego przywileju, iż miał udzieloną sobie wraz z bratem kajutę osobną, ulegał wszystkim przepisom i obowiązkom regulaminu, któremu podlegają uczniowie marynarki.

Urodzony w Styczniu 1864 r. w zamku Frogmore, doszedł do pełnoletności w 1885 r. i wystąpił już na arenę życia publicznego: wszedł do służby wojskowej: do 10-go pułku huzarów, ze względu na swój stopień w szkole kadetów na podoficera, prędko przecież, jak być musiało, przechodził stopnie wojskowe, na każdym zatrzymywany tak długo, aby się mógł obeznać rzeczywiście nie tylko z regulaminem, ale i z obowiązkami służbowymi. Królowa Wiktoria żądała tego dla wnuka: kochała go bardzo, ale właśnie dlatego była wielce troskliwą, aby wyrobił się „na człowieka, na mężczyznę, znającego co to jest życie i drogi jego pracy“, dodając przytem, że „trzeba

ręki silnej, aby umiała trzymać berło mocno i prosto. W 1887 r. pułk, w którym służył został odkomenderowany do Gibraltaru, w 1889 do Indyi i tu młody książę przejął się głęboko myślą o postępie, o dobrobycie ludności miejscowej, a choć nie był to bynajmniej jakiś umysł wyższy, zdolny obejmować wielkie zagadnienia społeczne, ale miał serce dobre, a że wychowanie nauczyło go zwracać uwagę na te strony życia ludzkiego, którym pomoc dana być może przez mądre prawa i instytucje odpowiednie, zajął się też mocno myślą o postępie, o podniesieniu się cywilizacyjnym ludności miejscowej, tuziemców, i na podstawie stale prowadzonego dziennika wrażeń i spotykanych tu obrazów życia, skreślił stan materyjalnego — i moralnego życia Indyi angielskich, aspiracye ich ludów, nie pomijając i kierunku w jakim działała tu może najpożyteczniejsza cywilizacja europejska. Miał wprawdzie pomocnika, współpracownika nawet, przebywającego przy jego boku w roli sekretarza, D-r Rees, który skierowywał jego uwagę na przedmioty tego godne i królowa Wiktorya, której wnuk ofiarował swoją pracę, zażądała, aby oddana do druku wykazywała w odpowiednich przypiskach wszystko, co dodała tu pomoc D-ra Rees, którego nazwisko zamieszczonem zostało w tytule książki jako współpracownika i nigdy wychowanie młodzieńca, urodzonego na stopniach tronu nie było prowadzonym starannie, z troskliwszą myślą uszlachetniających wpływów ściśle spełnianego obowiązku.

Wszystko zdawało się uśmiechać młodemu istnieniu, które rozjaśniło się z kolei najwdzięczniejszym z promieni, przyswiecających wiośnie ludzkiego życia. Młodzieniec pokochał — pokochał gorąco, silnie, tak jak młodość szlachetna kochać powinna i bez względu na to, co mogło tu być światowych wyrachowań mądrością, bo przedmiotem jego uczuć była księżniczka Marya Wiktorya Teck, „princesse May“ jak tu nazywają ją poufale, spokrewniona z królewskim domem Anglii, ale nie posiadająca żadnego wiana — uboga kuzynka, lecz to właśnie zjednało mu sympatyę kraju tak wielką i szczerą, że uposażenie młodej małżonki przez kraj zapowiadało się wyjątkowo hojnym. Obok tego przygotowywano niebawem wspaniałe podarunki ślubne, mogące stanowić w klejnotach i przedmiotach sztuki posag prawdziwie książęcy, gdy nagle uderzył cios. Zazębienie na pogrzebie księcia Hohenlohe, spokrewnionego z królową Wiktoryą, było tu przyczyną pierwszą, przytem młodzieniec nie uważając na lekką, jak sądził słabość — katar, polował przez dwa dni z rządu i przyszła influenza, pod tutejszym klimatem szczególnie groźna, a następnie zapalenie płuc i zabiło go w przeciągu dwóch dni. Matka i narzeczona czuwała przy nim przez te okrutne czterdzieści osiem godzin dniem i nocą, ale mimo tej straży miłości, anioł śmierci zabrał ofiarę swoją.

Mieć za sobą dwadzieścia sześć lat życia, mieć w sercu miłość tak gorącą, tak tkliwą, że umiała podnieść tego królewskiego syna nad wszystkie względy — korzyści świata, i odejść od tego wszystkiego, zanim usta dotknęły czary najśłodszego nektaru życia, to zaiste przeznaczenie tragiczne i wobec takiej mogiły można zawołać z myślą o życiu ludzkim: — Próżność próżności i wszystko próżności!..

Smutnym zbiegiem okoliczności umarł w ten sam dzień kardynał Manning, katolicki arcybiskup Anglii, kapłan zaeny i człowiek tak wysoce szanowany przez całe społeczeństwo swego kraju bez różnicy wyznania, że anglikański biskup Ellicott na wiadomość o jego śmierci zawołał wobec uczniów anglikańskiego seminarium: — Odszedł nas mąż sprawiedliwy!.. Sprawiedliwym też był i być pragnął przez życie całe, jak właśnie życia tego dzieje wykazują dowodnie od początku do końca jego istnienia. Urodzony w 1808 r., syn dyrektora Banku Angielskiego, odznaczał się od lat najmłodszych wielkiem zamiłowaniem nauki, studjami nad literaturą klasyczną i już na uniwersytecie Oxfordekim, gdzie kolegował z Gladstonem wyróżniał się z pomiędzy współtowarzyszy nauk wyższością i szlachetnością umysłu, a że obok tego był bardzo wymowny i słynął między kolegami z krasomówczych przymiotów swoich,

przepowiadano mu wysoką rolę mówcy parlamentarnego i on sam pragnął tego wśród młodzieńczych marzeń o przyszłości, a jakkolwiek po ukończeniu studyi w 1831 r., wszedł, kierowany wolą ojcowską do biura zarządu kolonii, oddawał wszystkim czas swój wolny nauce prawa, prawa rzymskiego zwłaszcza, które studiował z zamiłowaniem takim, że ten świat wesołego używania, który zwykle pociąga młodość swobodną i nie potrzebującą naganiać się pod jarzmo pracy zarobkowej, zostawał dlań na boku, gdy naraz spotkał się z pierwszą w życiu swoim niepomysłnością — pierwszym dotknięciem losu.

Ojciec jego poniósł znaczną stratę majątkową. Nie była ona przecież tak wielką w stosunku do posiadanego mienia, aby położenie rodziny uleżało zmianie jakiejś, a przytem on sam potrzebował dla siebie bardzo mało i połowa pensyi, wyznaczonej mu przez ojca, szła w ręce ubogich, ale snadź uderzyła go myśl o zmienności losów ludzkich — nietrwałości tego wszystkiego na czem człowiek opiera się w życiu, bo zaraz wkrótce potem porzucił swój urząd, wrócił do Oxfordu, oddał się studyum teologii, wziął święcenia kapłańskie kościoła anglikańskiego, ożenił się wkrótce potem z miss Karoliną Sargent bardzo łagodną, dobrą, tkliwego serca panną, siostrą uniwersyteckiego kolegi, o której Gladstone napisał, że „była dziewczyną bardzo powabną i mającą moc taką czarowania oczu ludzkich, ona i jej trzy siostry, że gdy przybywały do Oxfordu dla zobaczenia się z bratem, całe legiony studentów kochały się w nich szalenie.“ Wszystkie cztery wyszły też zamaż za uniwersyteckich kolegów brata. Maning kochał wybraną swoją miłością, która nigdy zmieniać się nie miała, a przyjąwszy święcenia i wzięwszy szatę kapłańską został proboszczem w majątku jednego ze szwagrów swoich, w okolicy bardzo pięknej, wśród bujnej zieloności pięknych gajów i łąk, pokrytych aksamitnymi kobiercami murawy, jak pisał, kreśląc obraz okolicy, w której był „jego raj“. Ale i do raju wślizguje się wąż, przeznaczonemu człowiekowi nieczęśćścią; młoda, tkliwie kochająca i kochana małżonka umarła wkrótce, a mąż zrozpaczony zamknął drzwi swoje przedtem, co nazywamy światem, i oddał się całej kapłańskiej pracy swojej, zachowując jedynie stosunki z ludem, czcącym go też jak świętego. Miał wtedy rok trzydziesty drugi; sława jego kapłańskiej pracy wśród ludu wiejskiego, sława jego kazań rozeszła się szeroko po okolicy i został wkrótce powołanym przez władzę kościelną na kapelana i kaznodzieję przy uniwersytecie, a tu głos opinii zaczął go zaliczać do wielkich mówców chrześcijańskich i najwyższe godności w kościele jego wyznania były mu zapewnione, gdy naraz w 1851 r. rozeszła się wieść, że postanowił zrezygnować z posiadanego przy uniwersytecie urzędu kapłańskiego i przejść na katolicyzm.

Stało się to wkrótce. Przyjacieli młodości jeszcze z ławy uniwersyteckiej, znakomity prawnik, Edward Hope, razem z nim dokonał aktu tego, który niewątpliwie był owocem szczerzego przekonania, powziętego na podstawie długich, głębokich badań i rozmyślań. To też społeczeństwo angielskie umiało to uszanować; nikt nie rzucał na niego kamieniem obelgi i żegnano go życzliwie, gdy wyjeżdżał do Rzymu, gdzie przepędził lat cztery, studiując historią kościoła rzymskiego, a papież ówczesny, świętobliwy Pius IX, przypuścił go do bliższego ze sobą stosunku. Gdy wrócił nakoniec do ojczyzny, powtórzyło się to samo; wierzone w szcerość jego uczuć i przekonania, a on również nie według wyznania, ale uczciwości i uczynków enoty chrześcijańskiej cenili ludzi, nauczając przede wszystkim z kazalnicy miłosierdzia i miłości bliźniego, a dodać tu należy, że zwracał się w naukach swoich niemal przeważnie do kobiet, wykazując im, że na nich opiera się to, co stanowi podwalinę społeczeństw: rodzina. W roku 1875 Pius IX wyniósł go do godności kardynała, a dostojność ta wysoka nie zmieniła w niezem skromności, łagodności jego — przymiotów, z których słynął, jakkolwiek życie dowodzi, że nie była to natura miękka, natura bierna i jak wszyscy ludzie ze szlachetnym ideałem ludzkości przed oczyma, nie tknął też nigdy ręki skalanej podłością, a nie obmytej przez skruchę i pokutę. Tak był nawet znanym

z tego w społeczeństwie swoim, że dość było zobaczyć kogoś przy jego boku, aby mówiono: „To uczciwy człowiek“...

Była to razem postać dziwnie sympatyczna: człowiek wielkiego serca i rozumu, to też gdy zamknął oczy, oddając Bogu szlachetnego ducha, żal ogólny ujawnił się wymownie przez wszystkie organa peryodycznego piśmiennictwa Londynu, Anglii, i tłumy ludzi wszelkiego stanu cisnęły się do oddania czei jego zwłokom, a dzienniki nie podejrzane o stronność dowodziły, że znajdowało się wśród tych tłumów wielu kapłanów kościoła anglikańskiego. Czczono w nim człowieka sprawiedliwego, człowieka przekonania silnych, który nie zachwiał się nigdy w tem, co uważał za prawdę i obowiązek i budując życie na tej podstawie, zyskał sobie cześć i miłość ludzi.

Przypominają też sobie teraz ludzie wszystko to, co było jego czynem dobrym i jakąś stroną dodatnią jego osoby: jak był miłym w towarzystwie, jak łaskawie przypuszczał do osoby swej każdego uczciwego człowieka, jak ofiarnieco zstępował nieraz w zaufki nędzy i zepsucia, aby nawracać zbłąkanych, podnosić upadłych. Każdy student uniwersytetu miał do niego wstęp wolny i nierzadko debatował godziny całe z młodzieńcem, którego przekonania się chwiałały. Przychodzono z tem do niego, jak do ojca, a on przyjmował z ojcowską dobrocią, niemal tkliwością, skarbiąc sobie tym sposobem władzę nad młodzieżą, która też licznie bardzo towarzyszyła jego zwłokom. Peryodyczna literatura angielska zapełnia całe szpalty opisami jego enót, jego przymiotów serca i umysłu, a wspomnienia najrozmaitsze ukazują się pod formą różną. Misyonarz Gay, należący do bliższych znajomych zmarłego, napisał we wspomnieniu stosunków z nim swoich, że pewną część muzyki w operze Gounoda: „Faust“, to jest scena w kościele, została napisana przez Manninga.

Między świeżymi wydawnictwami tej pory roku, która zwykle w nie obfituje, znajduje się bardzo zajmujące wspomnienie o Dickensie: „A week's tramp in Dickensland“, to jest: „Tygodniowa wycieczka w krainę Dickensa.“ Autor, zamierzający pisać studjum o Dickensie wybrał się na zwiedzenie jego miejsca rodzinnego, aby odnaleźć nie łączności jego talentu, jego poetycznego ducha z wpływami pierwszych wrażeń natury. Wyszła z tego rzecz bardzo zajmująca, pełna nieznanych dotąd szczegółów z życia, głównie z lat młodych znakomitego angielskiego powieściopisarza. Książkę zdobią w dodatku liczne ilustracye, dokonane przez najlepszych rysowników angielskich.

Ludzie umieją tu chować cześć pamiątek i o to dziś właśnie, jako w rocznicę zgonu Maryi Stuart, znaczna liczba osób, bo 256, przybyła do opactwa westminsterskiego dla uczczenia pamięci jej i złożenia kwiatów na jej grobie w kaplicy, zwanej królewską. Ale wiedzano o tem i nie dopuszczono do tego: zamknięto drzwi kaplicy — to jest, żelazną, w starożytnym, ozdobnym stylu kratę, ale margrabia Jakób Ruvigny, szlachcic szkocki wysokiego pochodzenia, bo mający też w żyłach swoich krew Stuartów, stanawszy pierwszy u kraty z wieniec róż białych, zażądał, aby wpuszczonym został, ponieważ cześć oddawana wielkim ludziom i wspomnieniom nie może być rzeczą szkodliwą, lub obrażającą cokolwiek, co należy do obowiązków społecznych poddanych Anglii. Pozwolono mu wtedy powiesić wieniec swój na kracie, poczem dokonali tego inni, i wiele wienców zostało złożonych u progu a w uroczystym milczeniu orszak cały wyszedł z kościoła. Wszyscy to byli szkoci.

Henryk.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż ministeryum dóbr państwa postanowiło urządzać latem bieżącego roku wyprawę do okolic głodem dotkniętych, a to dla zbadania stanu rolnictwa tam-

tejszego i obmyślenia środków zapobiegających w przyszłości klęskom podobnym.

— Zmarł w Petersburgu d. 14 b. m. podróżnik afrykański, D-r Junker.

— Warszawska Rada Miejska Dobroczynności publicznej zatwierdziła etat tegoroczny dla przytulku sędziwych sług i wyrobników, mieszczący się przy kościele Panny Maryi na Nowym Mieście. Etat na 54 pensjonarzy przedstawia rocznie 24.565 rs.

— Umarł ś. p. Karol Kucz, niegdyś redaktor Kuryera Warszawskiego a następnie Codziennego, od kilkunastu lat już nieczynny. W roku ubiegłym obchodził pięćdziesięciolecie pracy swojej w piśmiennictwie. Napisał kilka powieści i komedyi, liczył 75 lat życia.

— Teatr Rozmaitości będzie przerobionym w części tylko. Dane będą schody, jedne z marmuru, drugie z żelaza. Plan wygotował już architekt teatralny, Żochowski.

— P. Zygmunt Przybylski napisał dla Teatru Rozmaitości trzyaktową komedję „Protekeya dam“.

— Salon artystyczny spółki artystów na Nowym Świecie urządza specjalną wystawę prac ś. p. Feliksa Brzozowskiego, przeznaczając całkowity dochód na rzecz rodziny zmarłego artysty. Sto kilkadziesiąt obrazów, rysunków i studyi składać ją będzie, i zarząd prosi też za pośrednictwem prasy, aby osoby posiadające dzieła zmarłego artysty nadesłać je raczyły pod adresem zarządzającego Salonem Artystycznym p. Józefa Pawłowskiego, Nowy-Świat N-r 27.

— Warszawskie Towarzystwo Głuchoniemych, założone przez ś. p. Papłńskiego, który był dyrektorem Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, a mające na celu pomoc niesioną jego członkom przez udzielanie im pożyczki lub wsparcia, odbyło posiedzenie swe doroczne. Odczytane sprawozdanie za rok ubiegły wykazało 103 członków Towarzystwa, płacących rocznej składki 2 rs. Majątek Towarzystwa przedstawia 6.434 rs.; w ciągu roku udzielono dwunastu jego członkom pożyczek w sumie 360 rs., a niezdolnym do pracy rozdano wsparcia 52i rs. Towarzystwo w celu utrzymania pewnej łączności między członkami posiada przy ulicy Piwnej gospodę, gdzie mogą schodzić się ze sobą i porozumiewać, oraz używać wzajemnie przyjemności towarzyskich. Koszt utrzymywania gospody wynosił w roku sprawozdawczym 52 rs., pokryto go z funduszu zapisanego na ten cel przez założyciela.

— Obiady dla ubogich mieszkańców cyrkułu I i XI rozdają się w Poniedziałki i Czwartki w restauracyi przy ulicy Niecałej, N-r 2.

— W przytulku, mieszczącym się w powiecie Sandomierskim, we wsi Różki, a wzniesionym przez hr. Lanckorońskiego dla osób z podupadłej rodziny sfer inteligentnych, liczących co najmniej, u mężczyzn lat 50, u kobiet 40 zaważowało miejsce jedno. Kandydat, lub kandydatka wybrani przez zarząd, otrzymują bezpłatnie mieszkanie z ogródkiem i rocznego wsparcia 150 rs., obok tego na opał i utrzymanie porządku w mieszkaniu 51 rs. rocznie. Z prośbami zwracać się należy do powiatowej rady sandomierskiej, dołączając metrykę, oraz świadectwo podpisane przez kilku obywateli ziemskich, że proszący jest ziemianinem: b. właścicielem lub dzierżawcą, obecnie podupadłym i bez środków do życia. Przytem potrzebne jest świadectwo lekarza, wykazujące stan zdrowia, oraz dyplom szlachectwa, jeżeli kandydat je posiada.

— Warszawskie Tow. Dobroczynności otrzymało z zapisu ś. p. Radziszewskiego 8,000 rs. z procentami od czasu zapisu. Z summy tej 4,000 rs. ma zostać oddanych do dyspozycyi cyrkulowych kass rzemieślniczych, dla odpowiedniego użycia procentu; drugie 4,000 przeznaczył zapisodawca dla sierot, zostających pod opieką Warszaw. Tow. Dobroczynności, dla użytkowania również z procentów.

— Wysły świeżo dwa tomy dzieła ks. Zygmunta Chełmieckiego pod tytułem: „W Brazylii.“ Jost to opis podróży autora do Brazylii, dedykowany towarzyszywi tej wyprawy za ocean, p. Mikołajowi Glinie.

— W Sali Ratuszowej miasta naszego otwarta została wystawa nowego obrazu Siemiradzkiego „Apoteoza Kopernika“. Część dochodu z wystawy ma pomnożyć fundusz na wybudowanie własnego gmachu Tow. Sztuk Pięknych. Wejście na wystawę otwarte jest od 10 godziny rano.

— Z ofiarności niewiadomego dobrodzieja ma powstać w Krakowie dom przytulku dla podżuków. Nędza dzieci, uczęszczających do szkółek miejskich, wzbudziła litość ogółu krakowskiego i składki płyną licznie.

— Towarzystwo Tatrzańskie odbyło w pierwszym tygodniu bieżącego miesiąca walne zebranie w Krakowie, zagał je hr. Władysław Koziobrodzki, wykazując stan jego coraz pomyślniejszy. Kwestya zatargu z Węgrami o Morskie Oko pozostaje jeszcze w zawieszeniu. Hr. Koziobrodzki został wybrany na prezesa.

— Na politechnice otworzona zostanie katedra dla rolnictwa, którą obejmie tymczasowo z ramienia wydziału krajowego p. Zygmunt Straszewicz.

— Wystawa azyatycka urządzona we Lwowie z przedmiotów, przywiezionych przez ks. Pawła Sapięchę z podróży jego po Azji, przedstawia się po jej ostatecznem urządzeniu bardzo wspaniale i zajmująco. Pierwsza sala mieści pyszne dywany, pasy i stroje, w ogóle osobliwości japońskie. W drugiej sali model świątyni buddyjskiej, liczącej już trzy wieki, pociąga wzrok misterną swą robotą, ściany bogato wykładane brązem, kolory malowideł także świetne, jak gdyby dzisiejsze, obok tego makaty, zbroje zapelniają salę przepysznie, a wśród tego szczególnie uderza rogaty hełm japoński, przypominający hełmy staro-germańskie. Porcelany, brzozy, kobierce, bronie i narzędzia rozmaite przedstawiają razem zbiór, jakiego nie posiada żadne muzeum europejskie. Przedmioty chińskie są bardzo bogate i cenne, porcelana, lampy, instryktacje z drzewa, a wśród tego order „białego słonia“, który został udzielony księciu z wielkimi ceremoniami. Do wielce ciekawych rzeczy należy posąg Buddy, znacznej wielkości, bardzo stary, jak to wykazują cechy niezaprzeczone; wykonanie dziwnie doskonałe. Twarz posągu nacechowana wyrazem spokoju, którego nie zniszczyć nie może z wypadków świata. Dochód z wystawy przeznaczony został na cele dobroczynne, potrzebniejsze niż kiedy, ponieważ w powiatach Galicyi górskich panuje srogi głód. Deputacya koła polskiego złożyła w Wiedniu memoriał, żądający zaopatrzenia ludności wiejskiej w zboże na zasiew, rozdawane bezpłatnie, oraz zboże na użytek natychmiastowy przeżywania ludności uboższej i obmyślenie robót publicznych dla dania głodnym zarobku.

— Galicyjskie Towarzystwo Akcyjne, na którego czele stoi ks. Leon Sapięcha, hr. Stan. Badeni i Fran: Zima rozpoczęło już we Lwowie działalność swoją, pośrednicząc głównie w kupnie i sprzedaży płodów rolnych, oraz przerobów z nich, podejmu-

jąc się dostaw dla kraju i gmin. Interesa bankierskie są tu stanowczo wykluczone.

— Sprawa przemysłu drzewnego i założenia w Galicyi wschodniej drugiej szkoły fachowej na wzór istniejącej w Zakopanem, jest przedmiotem obranianym przez dzienniki lwowskie. Ludność huculska tej części Galicyi okazuje wrodzone zdolności do snycerstwa, nie mniejsze, niż ludność okolic podtarzańskich i ztąd należy dać jej możność odpowiedniego wykształcenia w tym kierunku. Założenie szkoły odpowiedniej na początek w Kołomyi, lub Krośnie, uważają tu za obowiązek wydziału krajowego.

— Czeskie stowarzyszenie wywozowe powstało świeżo z celem rozpowszechnienia płodów przyrody miejscowej i towarów przemysłu czeskiego. Stowarzyszenie rozwija się nad podziw szczęśliwie, ponieważ umie podejmować żywotne interesa przemysłu narodowego. Niemniej i Czechy cierpią na brak roboty i głód panuje tam także w sposób okrutny. D. 9 Lutego czterystu robotników bez zajęcia, wszystko ludzi uczciwych, jak sprawdzono, zgromadziło się przed ratuszem i wysłało deputacyą do burmistrza, prosząc o danie im jakiej roboty publicznej. Burmistrz zwołał natychmiast radę miejską, która obradowała pod uczuciem wielkiego wzruszenia i uchwaliła regulacye ulic i dróg. Roboty rozpoczęły się zaraz, ale nie mogą dać zarobku wszystkim, którzy go potrzebują.

M Y Ś L I

— Szczęście jest to sen, który nie wszystkich śpiących nawiedza.

— Dar podobania się nie ma nic wspólnego ani z cnotą, ani z zasługą.

— Przyjaźń powinna być dyskretną, jeżeli nie chce stać się uciążliwą.

— Namiętność nie zamiera nigdy w sercu namiętnem: zmienia tylko postać.

— Księgę swego życia rozumiemy dopiero, odwracając ostatnie jej karty.

— Przeszłość niekiedy bardzo smutna, gdy była *teraźniejszością*, staje się rajem dla tych, którzy nie mają *przyszłości*.

— Lękać się boleści — jest to cierpieć dwa razy.

Margrabina de Blocqueville.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 2 i 3 powieści pod tytułem: **Omyłka**, przez R. Norrissa. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez Quisa. — Rosa, przekład z Suly Prudhomme, przez M. I. (wiersz). — Niewolnica powieść, przez Bronisława Grabowskiego (dalszy ciąg). — Nowiny paryzkie. (dokończenie). — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — List z Londynu, przez Henryka. — Z bieżącej chwili. — Mysli.

Dodatek obejmuje: Arkusz 2 i 3 powieści, pod tytułem: **Omyłka** przez R. Norrissa. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. 17 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.